godło: jedenasta osiem

# Bigos polski

Berlin, 27 XII 1932 r.

**K**ończy się powoli ten szalony rok. Wydaje się, że zaledwie przed chwilą dostaliśmy z moją siostrzyczką Anielką angaż, a już z miedzynarodowym cyrkiem małych ludzi, Schaeffer's Liliputaner, przemierzyliśmy kawał świata: Wolne Miasto Gdańsk, Królewiec, Berlin, Dortmund, Essen, Passau, Beuten, Breslau, Dresden, Passau i tak dalej... Ileż miejsc, scen, owacji! Ilu napotkanych ludzi, powitań, pożegnań, ileż rozmów, ile fleszy, ile wywiadów prasowych, któż to wszystko zliczy?! Wzruszenia i łzy szczęścia, że do nas, małych Polaków z mazowieckiej prowincji, los się wreszcie uśmiecha, a przecież jeszcze przed rokiem – jak niektórzy mawiali - nikt by za nas czapki gruszek nie dał...*)

Łzy szczęścia, ale i te drugie, bardziej słone, bo kilka dni temu nasze pierwsze Boże Narodzenie poza Polską. W dniu wigilijnym około ósmej wieczór podzieliliśmy się opłatkiem w naszym polskim gronie: nas dwoje, Krysia, Tosia, Wala i Franek z Raciborza, ten, co to kilka dni temu przybył do zespołu, kiedyśmy występowali w Beuten albo w Bytomiu, jak kto woli.

- Ślónzok, ale przeca jo z Poloków, nyi? - wyjaśnił Franek i aż mu się oko zaszkliło. Nam zresztą też. Wcześniej próbowaliśmy nakłonić Hugo, czyli Janka Pastusiaka, żeby przyłączył do naszej polskiej garstki wigilijnej, ale wymówił się i zniknął z domu.

- On chyba świąt w ogóle nie uważa... - w głosie Krysi zabrzmiał ten jej plotkarski ton - i dlatego. Taki jeden mój wujo spod Garwolina też nie uważa świąt, żadnych, i zawsze siedzi sam i smutny. Ale co tam się dziwić, skoro on jest tym, no... komunistą.

Po złożeniu sobie życzeń odśpiewaliśmy kolędę *Wśród nocnej ciszy*.

Przed uroczystą kolacją w gronie całego zespołu ustawiono na stole talerze, a na nich jabłka, pomarańcze, orzechy, ciasteczka, czekoladę, a obok dla każdego położono świąteczny prezent, opatrzony karteczką z imieniem. Otrzymałem w podarunku srebrny zegarek z paskiem na rękę. Zegarek jest śliczny, ma świecący cyferblat, na którym można widzieć w ciemności. Anielka też otrzymała jakieś precjozum, ale szybko schowała i za żadne skarby nie chce mi wyjawić, co to takiego. Dziwna się robi ta moja siostrzyczka, doprawdy.

Po kolacji nasza garstka znowu się zebrała w salonie. Pojawił się także Hugo. Nad wyraz wesół i zarumieniony. Był, jak się wyraził, na długiej, bardzo długiej przechadzce. Pachniał śnieżnym powietrzem i alkoholem. Zaczęliśmy sobie gawędzić, jak u kogo spędza się Boże Narodzenie, co się jada na Wigilię i w ogóle w święta. Przy okazji ktoś mi przypomniał, że kiedyś obiecałem przeczytać wszystkim przepis na niezwykły bigos z książki kucharskiej Ćwierczakiewiczowej. Pobiegłem więc do swego pokoju po książkę. Kiedy rozpocząłem, już po kilku zdaniach zgromadzeni rodacy nie wytrzymali i zaczęli wtrącać każdy swoją opinię na temat udanego bigosu.

- A u nas w domu pod Druskiennikami do bigosa dodajies' garsteczkie suszannych prawdziwkow - powiedziała Wala. - I winne jabłuszko, przenigdy inaczy.

- A u mnie jeszcze suszone śliwki węgierki - dorzuciła Krysia.

- I miód, koniecznie łychę miodu - włączył się Hugo. - O, taką warząchew! - i pokazał zaciśniętą pięść.

- No więc... - chrząknąłem znacząco - wracając do przepisu: *do rozgrzanej już kapusty kiszonej należy powoli, stopniowo dodawać słodką...*

- Figa z makiem, wcale nie powoli! - zaprzeczyła Krysia - Po co te ceregiele, duperele? Od razu całe pół główki do gara i mieszasz, mieszasz! Mocno, po warszawsku!

- Nie feflaj, Krycha - odezwał się Franek. - Ciepać wszystko trza lankzam, nie gibem. Aber sicher, Sztefek richtik godo.

Krysia spojrzała na niego z ukosa.

- A mnies' tak zdaje - śpiewnie zagaiła Wala - że wszystko w tem bigosie jest' dobrze, jak sie sierdcem robi, ot co.

- Serce sercem, Wala - Hugo podniósł do góry palec wskazujący - ale jak bigos za chudy albo dajmy na to za kwaśny, taki że aż za uszami drze, to przecież takiej czarnej polewki na stół nie dasz, prawda?

Zgromadzeni zgodnie pokiwali głowami.

- W ogóle z bigosem trzeba dostojnie - podjął wieszczym tonem. - Bo przecież bigos najprawdziwszy, moi państwo... - zawiesił głos, podniósł się i stanął w romantycznej pozie. - Taki bigos najrzetelniejszy, taki najnaszy, najpolski, czyli bigos póki my żyjemy, to nie jest jakaś tam potrawa, o nie! To... - znowu zawiesił głos, tym razem na dłużej i trzymał go w gardle zduszonym, uwięzłym niby orzeł w okowach, i znać było jasno po jego rozpalonych źrenicach, po zmiętej na piersiach bieliźnie i po całej figurze, że ma dla nas wieść niebywałą, tylko racja jakaś nie pozwala mu jej wyjawić. I trzymał ów głos z bolesnym grymasem na pobladłej twarzy, szukając w nas współczucia. Zaglądał nam w oczy, chwytał za ręce, wskazywał jakąś dal, marszczył czoło i kazał nasłuchiwać ech niepodległych. Czy surmy tam grały, czy raczej nikt nie wołał, tego się już nie

dowiemy.

- Takiż bigos, rodacy... - wyrwało mu się wreszcie z piersi - to nie jadło, to... fortepian Szopena!!!

Aż wszystkim ciarki przeszły po plecach i spojrzeliśmy na niego z uznaniem. Spostrzegł to i uśmiechnął się pod wąsem.

- Bigosowi także nie zaszkodzi – tu szelmowsko mrugnął okiem - kieliszeczek dobrej gorzałki.

- Ja, ja, glaska sznapsa, mosz recht! - ożywił się Franek.

Nikt jednak nie podjął tego wątku. Za to oczy wszystkich utkwiły gdzieś w dali, w jakichś myślach przyjemnie smętnych. I można by przysiąc, że były tam wierzby, piaszczyste sośniny, żyto, kartofliska i krzyże na rozstajach i bochenkach chleba. Niemen tam świteział i familoki, i dzwony biły na Anioł Pański, i bociany klekotały, i Rydel chłopiał na weselu, i nie było wiadomo, czy erzet, czy zet z kropką...

Czegoś jednak mi brakowało w naszej pogawędce o bigosie i w tym wymownym, wygnańczym, polskim milczeniu tu, na berlińskim bruku. Zabrakło jakiegoś istotnego detalu, coś było jeszcze niedopełnione, niekompletne, niedosolone czy niedosmażone. Czegoś w naszym polskim bigosie zabrakło, by do cna był polski. Nie wiedziałem jednak, czego.

Ta nasza zaduma trwała już dobrą chwilę, kiedy nagle odezwała się Tosia, która do tej pory milczała jak zaklęta.

- A u mnie w domu w Krakowie na Kazimierzu bigos jest z wołowiną i na słodko, z migdałami i rodzynkami - powiedziała cicho. - Tylko ta wołowina kategorycznie musi być kosher...

Aż uśmiechnąłem się do własnych myśli. Właśnie tego brakowało, by polski bigos był gotów. Zamknąłem książkę kucharską. Nie była już potrzebna. Równie dobrze mógłbym zacząć czytać *Pana Tadeusza*, na jedno by wyszło. Zaczynasz o kapuście z mięsem, a wychodzi z tego niemalże kolejny zryw narodowy.

Nazajutrz, kiedy wracaliśmy z kościoła, dogonił mnie Franek, klepnął w ramię, a potem zagadnął, czy to prawda. Zrobiłem wielkie oczy.

- Godojo, że twój fater kołoż galanty, sztelmach znaczy - powiedział. - I forę zrychtuje, i laufbrykę na glanc, nyi?

Kiedy przyznałem mu rację, uśmiechnął się.

- Mojo familijo tyż kołoży! I brat fatra, umrzik, i uja. Cało Familijo kolita. A i w nosz herb Ratibora orzeł i pół koła, półpiaście. Jak nie wierzysz, to mosz – i wyjął zza pazuchy pugilares, a z niego starą, pogiętą postkartę. - Aber gib es mir dann züruck. Diese Posktarte habe ich nür eine.

Szliśmy dalej powoli, śnieg raźno chrzęścił pod butami. Myślałem o tym, co mi Franek przed chwilą powiedział. I o herbie jego miasta. Koło, półkole... I wtedy nagle przypomniała mi się

nasza daleka krewna, ciotka Chrobotka. Kobieta mądra, która całe swoje życie u kogoś służyła. Praca tak ją przygięła do ziemi, tak wyssała z niej wszystko, że zapomniała czytać i pisać. Ale jej głowa nie zapomniała myśleć. I to tak, żeby na wszystko znaleźć odpowiednie słowo. Często biegaliśmy do niej, żeby zasięgnąć rady albo po prostu się wyżalić.

Tamtego lipcowego dnia zastałem ją przed letnią kuchnią przy smażeniu naleśników. Byłem w złym nastroju i wściekły na cały świat, a przede wszystkim na to, że nie rosnę. I Anielka, moja piękna mała siostrzyczka, też nie. Chciałem, żeby mi szczerze od serca powiedziała, czy może kiedyś było jakoś inaczej, szczęśliwiej, a tylko teraz mnie przypadło żyć w tym podłym czasie.

Ciotka nie patrząc na mnie, powoli nałożyła ciasto na patelnię, zakołysała nią, żeby się ciasto równo rozlało i postawiła na ogniu. Potem wzruszyła ramionami:

– Jak było? Zawsze było tak samo, koliście.

Nie zrozumiałem, a wtedy dała mi naleśnika, kazała zjeść i popić mlekiem.

– Kiedy byłam młoda – powiedziała po chwili – taka młoda jak ty tera, to wszystko mnie się zdawało piersze i ostateczne. A potem... Hm, potem to już tylko takie, co już kiedyś było. Przez całe życie patrzałam, jak łzy płynęły i jak wysychały, ale oczy były te same. Było, minęło, ale znowuż będzie, zanim minie. I tak wkoło Wojtek, na okrągło. Takie to nasze życie i całe jestestwo. Koliste, powiadam – westchnęła. – Jedz, Stefciu, pojedz se gorącego, bo zimne niedobre i zaszkodzić może.

– A skoro tak koliście się to wszystko toczy – zapytałem po chwili – to znaczy, że kiedyś znowu wszystko stracimy? I że trzeba się będzie błąkać to tu, to tam, jak dotąd?

Ciotka popatrzyła na mnie poważnym wzrokiem, a na jej czole, tuż pod brzegiem chustki, pojawiła się taka podłużna, troskliwa zmarszczka.

– A kto to wie? Nikt – odpowiedziała. – Ale... Zresztą, chodź, cuś ci pokażę.

Podniosła się i kazała mi iść za sobą do wozówki. Tam w rogu stała stara dwukółka żelaźnianka, jeszcze po świętej pamięci Bolku Wróżbicie, z którym kiedyś ciotka żyła. Bolek zaprzęgał dwukółkę, całował ciotkę Chrobotkę w usta i ruszał po jarmarkach i odpustach sprzedawać przyszłość i ciepłe lody.

Ciotka zrzuciła z dwukółki parciane, zakurzone worki.

– Patrz – powiedziała poważnym tonem – te koła przetoczyły się po świecie wte, wewte i nazad niepamiętne kilometry. Ale od kiedy Bolek umarł, jeszcze za bolszewickiej wojny, nie drgnęły ani o włos. A przecie to ciągle koła...

Wówczas nie do końca ciotkę Chrobotkę zrozumiałem. Nieruchome koła, ale na zawsze koła i w każdej chwili gotowe do drogi? Jakieś to wszystko sprzeczne w sobie.

Wieczorem, w świetle lampy przypatrzyłem się postkarcie uważnie. Kartonik, na którym widniała kolorowa rycina ze słynnego herbarza Siebmachera. Emblemat Raciborza z orłem i kołem szprychowym na czerwonym tle. I orzeł, i koło ucięte w połowie, kalekie, jakby musiały się nagle

zatrzymać, jakby były z tej i tamtej strony jednocześnie, granicznie. Niby przylegają do siebie, jak dwie części tej samej kropli, a jednak jest w nich bolesne rozdwojenie, przecięcie. Dziwny herb, dwoisty, pomyślałem, ale piękny. I dalej przypatrując się postkarcie, zacząłem sobie uświadamiać, że herb Raciborza może spokojnie uchodzić za herb wszystkich polskich wędrowców, wiecznych tułaczy. Polski orzeł i turlające się koło. Obaj przecięci, ale przecież zespoleni w jedno i od zarania wędrujacy razem po tym bożym świecie! Patrzyłem, patrzyłem i wtedy pewnie wreszcie zrozumiałem ciotkę Chrobotkę.

- Ktoś miał niezły łeb, że coś takiego wymyślił – powiedziałem przy śniadaniu, zwracając Frankowi postkartę. – Herb macie, jak się patrzy!

- Kolity, akuratny, nyi? - roześmiał się.

*) Fragment fabularyzowanej korespondencji **Stefana Pycki** (1906-1979), niskiego wzrostu aktora teatralnego i cyrkowego. Stefan Pycka wraz ze swoją siostrą, Anielą Pyckówną w latach 1932-39 byli członkami znanego w całej Europie berlińskiego zespołu cyrkowego Schaeffer's Liliputaner. Po II Wojnie Światowej Stefan Pycka współtworzył warszawski objazdowy Teatr „Bajka”. Zagrał m.in. w „Krzyżakach” A. Forda. Mieszkał w Strzegowie na Mazowszu.